NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 93 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XIX. Kraków, 6 maja 1922. Nr. 18.

„Trzeci Maj" w Krakowie



Msza polowa na Błoniach krakowskich ku uczczeniu sto trzydziestej pierwszej rocznicy Wiekopomnej Konstytucyi.

TREŚĆ NUMERU:

„Trzeci Maj“ w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Czwarty raz z rzędu w samodzielnej i zjednoczonej Polsce obchodzimy rocznicę wiekopomnej Konstytucyi, która krajowi naszemu miała dać siłę i powagę, celu jednak nie osiągnęła, gdyż wróg zewnętrzny, poparty przez wewnętrznego, oceniając należycie znaczenie jej i doniosłość, wprowadzeniu jej w życie wszelkiemi siłami przeszkadzał.

Dziś dopiero zdajemy sobie z tego sprawę, jak ważnym aktem politycznym była dla narodu polskiego Konstytucya Trzeciego Maja i ile, uchwalając ją, dziadowie nasi okazali miłości Ojczyzny i zrozumienia Jej najżywotniejszych interesów. — Dzień 3. maja 1791 — to obok Grunwaldu i Unii Lubelskiej trzecia najpiękniejsza data w naszej historyi, pamięć jej czcić też powinien naród polski po wszystkie czasy i wiernym pozostać jej zasadom, wprowadzającym w organizm państwowy ład i porządek, między ludność równość i braterstwo.

I w tym roku obchodziliśmy rocznicę uchwalenia Konstytucyi z całym pietyzmem, należącym się tej narodowej pamiątce, a te tłumy ludności Krakowa, które wzięły udział w mszy św. na Błoniach i uroczystym pochodzie do miasta, zadały kłam dającym się często słyszeć twierdzeniom, że w społeczeństwie polskiem duch narodowy powolnie zamiera, a najpodnioślejsze chwile przechodzą bez właściwego sobie echa.



Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku: Władze francuskie w poszukiwaniu za ukrytymi składami broni, znajdują w jednej z fabryk obok Gliwic pod podłogą garażu automobilowego magazyn broni i amunicyi, wystarczający dla jednej kompanii na stopie wojennej.

Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku.

Zapewniania Niemców o swych dążeniach do pokojowego załatwienia nieporozumień z swymi sąsiadami od wschodu i zachodu w dziwnem przedstawiają się świetle, jeśli się śledzi bacznie bieg wypadków zwłaszcza na Górnym Śląsku.

Znowu stały się Gliwice, owe gniazdo głównej kwatery band niemieckich na G. Śląsku, miejscem popisów tych zbrodniarzy. Kompania wojska i oddział saperów francuskich w Kwietnią Niedzielę obsadziły mały cmentarz pod Gliwicami, gdyż władze koalicyjne dowiedziały się, że znajduje się tam duży skład broni i amunicyi Orgeszu niemieckiego. Swój tajny arsenał urządzili Niemcy właśnie na cmentarzu, jako w miejscu najmniej zwracającym uwagę i to w podziemiach pewnego grobowca, ponad którym wznosiła się kaplica. Gdy wojsko wkroczyło do grobowca, w którym oprócz wielkiej ilości karabinów maszynowych i ręcznych, jakoteż granatów ręcznych znajdowały się wielkie zapasy nabojów i innej amunicyi, nastąpił straszny wybuch. Kaplica w momencie zrównaną została z ziemią. Kto w tej chwili znajdował się w kaplicy lub w pobliżu, poniósł śmierć na miejscu lub poważne uszkodzenia. Około 25 oficerów i żołnierzy francuskich życiem przypłaciło swą obowiązkowość, 10 innych odniosło ciężkie rany, nie licząc lżej uszkodzonych, którzy stali w dalszej odległości. Siła wybuchu była tak straszna, że różne części ciała zabitych i odłamki zburzonej kaplicy znaleziono jeszcze w odległości 400 metrów od miejsca wybuchu. Wybuch nastąpił zapewne na skutek poruszenia miny, o której wiedzieli tylko wtajemniczeni Orgeszowcy.

Ze w wypadku tym znowu tylko o broń niemiecką chodzić może, nie ulega wątpliwości. Dowodzi tego aresztowanie dyrektora sąsiadującej z owym cmentarzem huty, Webera, którego już raz aresztowano pod zarzutem przechowywania broni, ale dla braku dowodów uwolniono. Z nim razem aresztowano portyera tejże huty. Mimo tak wyraźnych poszlak, mimo, że w Gliwicach już kilkakrotnie dokonano dobrze zorganizowanych zamachów na wojska francuskie i na Polaków, prasa niemiecka śmie twierdzić cynicznie, że bardzo możliwem jest, iż Polacy wobec bliskiego rzekomo nowego puncza broń tą na tem miejscu ukryli! Hakatystyczna *Kattowitzer Zeitung* z całym cynizmem, przyznaje, że wobec rzekomych zbrojeń polskich i Niemcy zbroić się muszą, aby nie być zaskoczonymi!...

Smutne to wydarzenie odbiło się głośnem echem nie tylko w Polsce i Francyi, jako bezpośrednio dotkniętych, lecz poruszyło także ogólną światową





Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku: 1) Kapliczka na cmentarzu pod Gliwicami, w której podziemiach Niemcy urządzili tajny skład broni i amunicyi 2) Miejsce katastrofy po wybuchu miny, umieszczonej pod kapliczką.





Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku: Pogrzeb ofiar eksplozyi Jenerał Champeaux w kondukcie żałobnym, za nim jenerałowie: Marinis, Le Rond Henniker.

opinię, a to tem bardziej, że zbiegło się z opublikowaniem w Genui traktatu niemiecko-sowieckiego, przedstawiającego zamysły Niemców na przyszłość w zupełnie innem świetle, niż dotychczasowe głosy polityków i prasy niemieckiej, usiłujących wmówić w świat, że Berlin o jakimś odwecie zupełnie nie myśli, poddając się przyjętym na siebie zobowiązaniom. Obszary nadreńskie, obsadzone przez Koalicyę, są bardziej spokojne, na Górnym Śląsku natomiast skoncentrowała się cała działalność niemieckich bojówek, wysilających się na steroryzowanie miejscowej ludności i tak już doprowadzonej do ostatecznego zniecierpliwienia ciągłem odraczaniem definitywnego załatwienia sprawy przynależności państwowej tych okolic.

Jeszcze ohydniejszym i bardziej oburzającym jest dokonany w kilka dni później w samych Gliwicach mord jednego z najzasłużeńszych działaczy narodowych na Górnym Śląsku.

Do mieszkania dra Wincentego Styczyńskiego, polskiego doradcy technicznego przy koalicyjnym kontrolorze powiatowym na miasto Gliwice i członka tamtejszej rady miejskiej, przybył w godzinach popołudniowych niewyśledzony na razie osobnik jako rzekomy pacyent i dał do niego dwa strzały rewolwerowe w skroń. Strzały były śmiertelne. Dr Styczyński zginął od kul natychmiast. Morderca zdołał umknąć. Gospodyni dra Styczyńskiego na odgłos strzałów wbiegła do przedpokoju i schwyciła mordercę za ramię, a trzymając go konwulsyjnie — wołała o pomoc. Morderca uderzył ją jednak rękojeścią rewolweru silnie w głowę i zbiegł. Na miejsce ohydnego mordu przybyli wkrótce przedstawiciele komisyi koalicyjnej i niemiecki prokurator. Zmarły tak tragicznie ś. p. dr. Styczyński otrzymał w ostatnim czasie szereg listów z pogróżkami od tajnej niemieckiej organizacyi wojskowej. Ostatni list otrzymał ś. p. dr. Styczyński w przeddzień śmierci.

Według opinii w miarodajnych kołach — mordu dokonał osobnik należący niewątpliwie do tej samej grupy niemieckiej, która niedawno dokonała zamachu na życie księdza Mateji, oraz dyrektora Sliwki w Gliwicach. Celem tej grupy jest drogą zamachów morderczych steroryzować inteligencyę polską po niemieckiej stronie Górnego Śląska i zmusić ją do opuszczenia kraju, jak również przez wywołanie niepokojów uzyskać powód do poruszenia sprawy górnośląskiej w Genui. Dr. Styczyński pochodził z Księstwa Poznańskiego i liczył lat 45.

Pogrzeb śp. Zamordowanego odbył się w Gliwicach przy tłumnym udziale ludności polskiej z miasta i okolicy. Zwłoki przewieziono do kościoła Wszystkich Świętych, gdzie o godzinie 10 odprawione zostało nabożeństwo żałobne przed głównym ołtarzem przez ks. posła Styczyńskiego brata zamordowanego, a przy bocznych ołtarzach, przez dwóch miejscowych polskich kapłanów. Kazanie wygłosił ks. Robota, osobisty przyjaciel i towarzysz pracy dra Styczyńskiego. Po nabożeństwie odbyła się eksportacya zwłok na dworzec kolejowy, skąd przewieziono je do Poznania. W orszaku pogrzebowym wzięło udział około 20.000 osób, w tem delegacye z całego Górnego Śląska. Wieńców naliczono przeszło 50. Na rampie kolejowej pożegnał zwłoki imieniem polskiego klubu gliwickiej Rady miejskiej, oraz imieniem społeczeństwa polskiego na Górnym Śląsku Jawasiński, składając hołd zmarłemu za jego wielkie zasługi narodowe. Po złożeniu trumny do wagonu, zebrani odśpiewali „Rotę". W pogrzebie nie wzięli udziału Niemcy większości gliwickiej Rady miejskiej, a to wskutek życzenia śp. Styczyńskiego, o czem delegacya radnych polskich zakomunikowała Radzie miejskiej następującem pismem: „Do przewodniczącego Rady miejskiej pana Kaffanke'go oraz do magistratu miasta Gliwic. Nieludzkie stosunki w mieście Gliwicach, wywołane morderczymi napadami na Polaków i Francuzów, tolerowane milczeniem władz miejskich i bezwstydnymi rabunkami wielu obywateli tego miasta, zmuszają nas do nieobecności na posiedzeniach Rady miejskiej. Prosimy o powstrzymanie wszelkich manifestacyi żałobnych ze strony miasta, ponieważ ś. p. dr. Styczyński, który na krótko przed swoją śmiercią upoważnił nas do zakomunikowania zarządowi miasta, że na wypadek, gdyby zginął z rąk niemieckiego mordercy, czego się spodziewał na podstawie nadesłanych mu listów z pogróżkami śmierci, nie życzy sobie, aby niemieccy przedstawiciele miasta brali udział w jego pogrzebie".



Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku: Trumny ofiar eksplozyi, okryte kolorami narod francuskiemi.

Celem zamanifestowania oburzenia z powodu zamordowania ś. p. dra Styczyńskiego, zastrajkowali na liniach górnośląskich wszyscy kolejarze. Strajk ten trwał od godziny 11 do 12 w południe. — Zaznaczyć należy, że była to akcya zupełnie samodzielna i odruchowa, tak że nawet kierownictwo Związku kolejarzy zostało tą akcyą zaskoczone. Jak słychać — górnicy i hutnicy w polskiej części Górnego Śląska postanowili urządzić podobny strajk manifestacyjny.





Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku Pogrzeb ś p. zamordowanego w Gliwicach dra Wincentego Styczyńskiego po przewiezieniu zwłok do Poznania w dniu 25 kwietnia b. r.

Aj. fot. Maryan Fuks. Warszawa.

Festyn na rzecz „Czerwonego Krzyża" we Lwowie.

Zbliża się lato, z niem zaś okres apelowania do kieszeni publicznej za pomocą festynów, urządzanych na rzecz najrozmaitszych instytucyi. Tak jak w karnawale nie obszedł się żaden tydzień bez jakiejś zabawy publicznej na cele dobroczynne, w porze wiosennej i letniej liczba niedziel i świąt okazuje się stanowczo za małą, aby pomieścić wszystkie festyny, zabawy ogrodowe, koncerty i inne podobne przedsięwzięcia, z których dochód ma zasilić fundusze danej instytucyi.

W tej powodzi festynów i podobnych im zabaw są niektóre, zasługujące w całej pełni na wydatne poparcie ogółu, tem łatwiejsze do spełnienia, iż, przy niewielkim stosunkowo wydatku, łączy się przyjemne z pożytecznem, spędza się bowiem czas na świeżem powietrzu, co dla zdrowia każdego może być tylko korzystnem, poza tem przychodzi się z pomocą dobroczynnemu celowi.

Za jedną z instytucyi, zasługujących na jak najwydatniejsze poparcie ogółu, uważamy Towarzystwo „Czerwonego Krzyża", mające nie tylko w wojennym czasie, lecz także i podczas pokoju wielkie zadania do spełnienia. Obowiązkiem każdego obywatela jest też czynne poparcie tej instytucyi, jeśli nie jest jej członkiem, to bodaj w ten sposób, by wziąć udział w zabawie, na jej dochód urządzanej.

Lwowski sezon festynowy rozpoczął w dniu 23 kwietnia bardzo udatny festyn na rzecz „Czerwonego Krzyża" na Placu Targów Wschodnich. Komitetowi przyznać trzeba, że dołożył starań, aby całość wypadła doskonale i zadowoliła uczestników, mających obecnie bardziej wygórowane wymagania, niż to bywało dawniej. Prawdziwą atrakcyą programu były popisy drużyn harcerskich, które sprawnością swą i wyszkoleniem, zwłaszcza w niesieniu pomocy rannym na polu walki, zjednały sobie ogólny poklask i uznanie. Podobne urozmaicenie programu produkcyą tak aktualną i duchowi instytucyi, na której dochód festyn się odbywa, tak pokrewną, powinno być wyraźnie podkreślone, nie posiada bowiem tych cech banalności, jakiemi tak często grzeszą wszystkie nasze festyny, organizowane wedle jednego i tego samego odwiecznego programu.



Nowe łotrowstwa Niemców na Górnym Śląsku: Rodzina ś. p. zamordowanego przez Niemców w Gliwicach dra Styczyskiego w orszaku pogrzebowym. Aj fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Umizgi niemiecko-sowieckie.

Układ pokojowy, zawarty między Niemcami, a Rosyą sowiecką w Rapallo, właściwie zaś mówiąc, tam tylko opublikowany, nie powinien był stanowić niespodzianki dla nikogo z tych, którzy, choć nie politycy z zawodu, śledzą przecież uważnie bieg wypadków. Od lat szeregu Niemcy starały się o zdobycie sobie poważnych wpływów w Rosyi i udało im się to zupełnie jeszcze za rządów carskich, sympatye germanofilskie przejął po caracie w spuściźnie rząd sowiecki, cieszący się zawsze wydatnem poparciem Berlina. Za kolebkę rosyjskiego ruchu komunistycznego można uważać Niemcy, stamtąd on wyszedł i tam znajdował zawsze najwybitniejsze poparcie. Sowiecka Rosya, nie uznawana przez mocarstwa światowe, musiała szukać dla siebie sprzymierzeńca, aby nie być odosobnioną, a najodpowiedniejszym okazali się właśnie Niemcy, w tym sojuszu widzący dla siebie pewny interes, gdyż Wschód, czy to bliski czy daleki, był dla nich zawsze terenem, o którego zdobycie usilnie się starali.

Umowa niemiecko-rosyjska, na oko dość niewinna, gdyż dotycząca rzekomo tylko spraw gospodarczych, ma jednak daleko większe, niż mogłoby się wydawać, znaczenie, sprzeciwia się bowiem postanowieniom traktatu wersalskiego, nazwanego swojego czasu przez Radka Sobelsohna „świstkiem papieru, z którym się nikt nie liczy", pozatem tworzy nowy w Europie związek polityczny, zagrażający poważnie pokojowi światowemu, obaj bowiem wspólnicy, mniej niebezpieczni, gdy byli odosobnieni, w związku ze sobą stają się potęgą, z którą świat musi się liczyć. Wiedziała o tem dobrze i Rosya i Niemcy, pierwsza zawierając umowę, czyniła to w tej myśli, iż ugruntuje swe prawnopolityczne stanowisko w Europie, drugie, że uda się im uchylić od spełnienia przyjętych na się zobowiązań, przedewszystkiem zaś, iż znajdą w Rosyi teren odpowiedni dla rozwoju swego przemysłu, a zdobywając go, uprzedzą inne mocarstwa, które są te same co i one cele.

Czy w parze z układem gospodarczym idzie i konwencya militarna, jak o tem niektóre pisma wspomniały, to mniejsza, w każdym razie trzeba przyznać, że decydujące sfery niemieckie i sowieckie doskonale zrozumiały swój własny interes i potrafiły wyzyskać brak jednolitości w postępowaniu Koalicyi. Obecnie oficyalnie, nie tak jak dawniej tylko dorywczo, kokietują się nawzajem nowi sojusznicy, a najmilej widzianymi gośćmi w hotelu *Imperial* w Rapallo, gdzie rezydują bolszewicy, są przedstawiciele rządu niemieckiego, spieszący tam bardzo chętnie, nie tylko z sympatyi dla swych przyjaciół, ile raczej dla zaszachowania swych wspólnych przeciwników, teraz dopiero zdających sobie sprawę z tego, że samochcąc przegrali stawkę i to w momencie najbardziej może decydującym.



Festyn na rzecz „Czerwonego Krzyża" we Lwowie: Członkowie komitetu urządzającego festyn w dniu 23 kwietnia b. r. Fot. M. Münz, Lwów.



Festyn na rzecz „Czerwonego Krzyża" we Lwowie: Drużyna skautów podczas ćwiczeń na festynie. Fot. M. Münz, Lwów.

Cylinder pana Cziczerina

Ogólne zainteresowanie nie tylko w samej Genui, lecz wogóle w całym świecie, budzi delegacya sowiecka na zjazd międzynarodowy. Trudno ją wprawdzie bliżej obserwować, gdyż jest nadzwyczaj pilnie strzeżoną, tak przez własne organa policyjne, jak i włoskie, to jednak, co się widzi, przeszło daleko ludzkie oczekiwania. Delegatów sowieckich, których przybycie poprzedziła dość smutna sława, wyobrażano sobie jako osobniki zupełnie niepodo-

RENE BURES.

Zil=X...

24) Tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Wyciągnęła rękę, w stronę dziennika trzymanego przez Daltona i drżała całem ciałem...

— Co pani jest? — powtórzył ciekawie Dalton. Zdawał się być silnie wzruszonym, ale to wzruszenie było jakieś nienaturalne i sztuczne.

— To mnie interesuje — wymówiła zimno Zaklina Dubois.

— Ah! tak! — szepnął Dalton.

— To był mój najdroższy kochanek... uwielbiałam go... — przyznała Zaklina.

Dalton podał jej dziennik.

Monna Bamboche płakała głośno.

Wszyscy oczekiwaliśmy na coś w milczeniu. Zaklina czytała. Nagle zerwała się z krzesła i opadła na nie bezwłocznie, krzycząc prawie.

— Co to za podłość! Co to za podłość!

— Niech się pani uspokoi. Co pani jest? — zapytał stary Dambleuse, pochylając się ku niej troskliwie.

— Ah! nędznicy — szepnęła Zaklina — Nędznicy! Oszukali go! oszukali go, w tak straszny sposób! Oh! przebacz mi Jerzy! przebacz!

Rzuciła dziennik na stół, twarz skurczoną bólem ukryła w drżących rękach i rozpłakała sie spazmatycznie.

Robert Dartignes silnie wzruszony tą sceną podjął dziennik. Pochyleni nad nim mogliśmy wszyscy czytać. Zachowałem dotąd ten numer senzacyjny. Przepisuję teraz wiernie tekst artykułu i każdy czytający go, zrozumie straszne uczucie jakie doznałem, czytając go wówczas:

„ŚMIERĆ JERZEGO DAMBLEUSE".

Morderca popełnia samobójstwo w więzieniu.

„Jerzy Dambleuse smutny bohater, tragicznych dramatów, wstrząsających od trzech miesięcy opinię publiczną, odebrał sobie życie dziś popołudniu w celi swojej więziennej. Główny dozorca więzień przechodzący w inspekcyi wszystkie cele zastał mordercę leżącego już bez życia na podłodze. Śmierć musiała nastąpić przed paru godzinami. Jerzy Dambleuse powiesił się na swojej krawatce, przyczepionej do kraty żelaznej u okna.

Oskarżony stanąć miał na przyszłej sesyi przed sądem głównym pod zarzutem popełnienia szeregu morderstw...

— Godzina druga. — Więzień nie powiesił się w celi swojej, lecz się otruł. Niewiadomo jeszcze w jaki sposób mógł się wystarać o truciznę. Śledztwo w toku.

Na stole znaleziono kilka listów, zaadresowanych do przyjaciół — i jeden list otwarty napisany do sędziego śledczego, pana Giroux. Oto treść owego listu:

„Panie sędzio!.

Odbieram sobie życie. Czuję się w obowiązku wyjaśnić panu ten fakt. List ten prawdopodobnie będzie podany do wiadomości publicznej. W ten sposób nieliczni moi przyjaciele dowiedzą się o całej prawdzie. Jestem niewinnym. Nie popełniłem wcale tych zbrodni, o które mnie oskarżają. Mógł się pan sam przekonać o tem w toku śledztwa jak stanowczo upierałem się przy tem twierdzeniu i z jaką energią broniłem się przeciw temu niesłusznemu posądzeniu. Jednakże nie czyniłem sobie żadnych iluzyi co do mojego losu. Nie można było wykazać dowodu mojej niewinności, przy tylu obarczających mnie faktach. Walczyłem dla walki samej. A potem nadeszła ta drobna rzecz, ta ostatnia kropla, która przepełniła dzbanek. Uwiadomił mnie pan dziś rano, że listy znalezione w biurku senatora Poivrier, nie były wydane przez służącą, tak jak przypuszczano, lecz, że zostały sprzedane senatorowi przez niejakiego Rivero Boldawo, kochanka panny Zakliny Dubois.

Jest to dla mnie wstrętne i ohydne. Było to już dla mnie dosyć wstrętne, że zostałem u panny Dubois zastąpiony przez to indywidum podejrzane, ale, że sprzedała te listy dla przyjemności tego pana — tego już znieść nie mogłem.

Łączę uprzejme ukłony — Jerzy Dambleuse".

Zaklina Dubois łkała rozpaczliwie. Mona Bamboche podeszła i zaczęła ją pocieszać. Słowa jej uspokoiły ją trochę. Podniosła głowę, osuszyła oczy lecz była jeszcze bardzo podniecona i wzruszona.

Widać było jak czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby zapanować nad sobą, lecz pomimo tych wysiłków bezładne, gorączkowe słowa wybiegały z jej ust.

— Tak, tak... — szeptała na pół przytomnie — skoro to ja go zabiłam... muszę teraz go bronić... a potem... pójdę za nim... przecież tak podłą nie jestem... jestem dziewczyną złego prowadzenia... wiem o tem... On mi to powiedział i miał słuszność... i zabił się przezemnie... dla mnie... Powiem wszystko... powiem... on jest niewinny... A tamten... Oh! nędznik!... podlec...

Dalton śledził każde jej słowo, wpatrzony w nią uporczywie.

— Panno Zaklino — odezwał się w końcu stary Dambleuse, którego podziwiałem zimną krew i sposób — znanym nam jest wszystkim, bolesny i tajemniczy dramat, do którego pani jest wmięszaną, skoro kochanek pani oskarżonym był o popełnienie zbrodni. Przed chwilą powiedziała pani, że był niewinnym... że pani powie wszystko... Powinna pani mieć zaufanie do nas. Znam bardzo dobrze ministra spraw zagranicznych i obiecuję pani jego poparcie. On dopomoże pani z największą gorliwością do obmycia z wszelkich zarzutów pamięci tego, którego pani kocha.

— Nie teraz — odpowiedziała Zaklina.

Widziałem jednak, ze wahała się.

— Pani — wtrącił się Dalton — mój przyjaciel, Don Antonio Marquez jest jednym z właścicieli dziennika „Burzy". Interesuje się on niemiernie od samego początku tą sprawą, ja zaś jestem szkolnym kolegą sławnego Igginsa, którego poznałem w Ameryce. Wiadomo pani zapewne jak dzielnie bronił Jerzego Dambleuse. Jesteśmy więc wszyscy do usług pani.

— Mów, Zaklino! mów! nalegał Robert Dartignes silnie wzruszony.

— Oh! tak! mów, mów, Zaklino! przyłączyła się do nich błagalnie Monna Bamboche.

— A więc dobrze! Powiem! oświadczyła nagle Zaklina. Słuchajcie! Ten, który wydał te listy, który mi je wykradł i sprzedał jest... Rivero Boldavo!

— Ah! — szepnął Robert Dartignes.

Słuchaliśmy wszyscy z natężoną uwagą.

— Tak! to on! on ten zły duch, nędznik, który mnie wziął, któremu oddałam się w chwili szału i złości wtedy, kiedy mnie Jerzy opuścił, nagle, bez przyczyny. Ah! chcieliście wiedzieć! Więc dowiecie się! Co mnie teraz wszystko, obchodzi, skoro on nie żyje! jego kochałam, uwielbiłam nad wszystko, nad życie! Spotkałam go przed pięciu laty. Przeżyliśmy cztery lata w namiętnej, szalonej miłości — bogiem moim był, a ja byłam jego niewolnicą, rozkochaną, bezwolną, słabą istotą w jego rękach! Cztery lata szczęścia! Pewnego dnia... ale te szczegóły może was nie interesują?

— Niech pani mówi! Niech pani mówi wszystko! — wyrzekł żywo Dalton.

— A więc pewnego dnia nabrał przekonania, że go zdradzam! Odszedł odemnie, a ja uniosłam się ambicyą! On był jeszcze ambitniejszym odemnie. Ta ambicya zgubiła nas oboje! Każden dzień oddalał nas więcej od siebie. Zażądałam zwrotu listów. Był już wówczas zaręczonym. Oh! tak! byłam szalona... Był czas przecież jeszcze... Tamta mi go zabrała... Odtąd upłynęło sześć miesięcy w walce... w szamotaniu się... groźbach... i szantażach... Lękałam się... a im więcej oddalałam się od Jerzego, tem powolniejszą, bierną stawałam się dla tamtego... Zatracałam wolę, energię... sumienie... Oto wszystko, moi panowie.

Milczeliśmy wszyscy. Ogromne wzruszenie ogarnęło nami wobec tej biednej, nieszczęśliwej kobiety, która z taką szczerością wyjawiała nam przeżycia swoje, miłość i cierpienia i oskarżała się tak pokornie z taką prostotą.

— Czy nie próbowała pani widzieć się z nim? — zapytał w końcu Dalton półgłosem.

— Raz tylko.

— I co?

— Powiedział mi, że wszystko na zawsze pomiędzy nami skończone.

— Czy wiedział, że listy wykradzione zostały?

— Nie.

— Ale pani jednak wiedziała o tem?

— Tak, ale od niedawna.

— Domyślała się pani, kto to zrobił?

— Tak.

— I w jakim celu?

— Tak.

— Ażeby je sprzedać, nieprawdaż?

— Tak.

— Czy wiedziała pani, dlaczego druga strona je kupowała?

— Nie.

— Czy listy te zostały sprzedane wprost panu senatorowi Poivrier?

— Nie.

— Komuż więc?

— Kapitanowi de Limandoux.

— Kapitanowi de Limandoux? — powtórzył Dalton drżącym głosem.

— Tak.

Z piersi starego Dambleuse wybiegł jakiś pomruk niezrozumiały. Podniósł rękę do czoła i potarł je silnie, nerwowym, gorączkowym ruchem.

Czyżby nareszcie zjawiała się jakaś poszlaka? Ślad, mogący doprowadzić nas do celu?

Nie umiem dziś wytłómaczyć sobie tego uczucia, ale usłyszawszy nazwisko kapitana de Limandoux połączone z nazwiskiem tego podejrzanego cudzoziemca nabrałem nagle jakiejś nadziei i ufności, że fakt ten wpłynąć może tylko korzystnie na sprawę Jerzego Dambleuse, że teraz śledztwo całe idąc po tym śladzie, skierowane być może w zupełnie inną stronę.

— Wyjdźmy już — szepnął niecierpliwie Robert Dartignes spostrzegłszy, że Zaklina znowu jęczeć i płakać zaczęła. — Niemasz już nic do zapytania? — zwrócił się do Daltona.

— Nie — odparł mój przyjaciel. — Zresztą załatwimy się sami. Do widzenia.

— Pojadę z wami — oświadczył jeszcze Robert Dartigues kobietom.

Stary Dambleuse, nie zdawał się słyszeć tego, co wokoło niego się mówiło. Kiedy garson posługujący podszedł do niego z rachunkiem — zapłacił automatycznymi ruchami, nie odzywając się wcale.

Widziałem, że Dalton pragnie wyjść z gabinetu jaknajprędzej.

Nerwowym ruchem, podjął ze stołu fatalny numer „Nowości", złożył go wsunął do kieszeni.

Na ulicy pożegnaliśmy się wszyscy krótko. Stary Dambleuse, jakgdyby to było rzeczą umówioną kazał się zawieść do swojej willi, Zaklina, Robert Dartigues i Monna Bamboche wsiedli do auta.

My zaś z Daltonem, skierowaliśmy się w stronę placu Opery.

Noc była bardzo jasna i ciepła, niebo zasiane gwiazdami. Ulica była cicha i spokojna, przechodniów mało.

Zadziwił mnie ten nastrój miasta.

— To dziwne, że wiadomość ta nie uczyniła większego wrażenia.

— Jaka wiadomość? — zapytał Dalton.

— A no — samobójstwo Jerzego Dambleuse... nawet gazeciarz nie wykrzykuje tego po ulicach.

— Ah! tak! — mruknął niechętnie Dalton.

— Nie roznoszą żadnych nadzwyczajnych dodatków — ciągnąłem dalej.

Ale Dalton milczał, jakgdyby nie słyszał moich słów.

— To szczęście jednak, żeśmy dostali ten numer „Nowości" w kabarecie. Bylibyśmy dotąd o niczem nie wiedzieli i sprawa nie postąpiłaby nic naprzód.

Dalton milczał zawzięcie.

Zamilkłem, nie chcąc niepokoić jego myśli.

— Gdzież my się udajemy? — zapytałem po dłuższej chwili.

— Na przechadzkę — rzucił lakonicznie Dalton.

— Dobrze. Niech i tak będzie.

Ale po upływie kilku chwil nie mogłem już wytrzymać i przerwałem milczenie.

— Powiedzże mi Dalton, o czem ty właściwie myślisz tak głęboko?

— O sprawie.

— Ale co o niej myślisz?

— Myślę, o samej jednej rzeczy — lecz, która nie da nam na razie nic nowego.

— Jakto?

— Limandoux nie żyje. A ten ptaszek cudzoziemiec nie powie nic. Niema dowodów. Zaklina nie zechce zaś go obciążyć.

— A więc?

— A więc pocieszajmy się nadzieją, że Iggins znajdzie coś ciekawego, dotyczącego tego X — Zila i M. S. — 27.002.

— Na co teraz to będzie potrzebnem?

— Jest to jedyna szansa uratowania głowy Jerzego Dambleuse.

— Głowy Jerzego Dambleuse — powtórzyłem ze zdumieniem. — Czyś ty oszalał mój kochany..

— Nie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

— Wszystko jedno — tem lepsza będzie dla niej niespodzianka!... Jeszcze nie po ślubie i tego ślubu nie będzie!...

— Zwaryowałaś?!

— Wcale nie zwaryowałam! Czekaj mama — jest tu jaki papier listowy, pióro, atrament...

— A może będzie w szufladzie... a co ty chcesz pisać?

Stefa odsunęła szufladę stołu, zapełnioną stosem rupieci i zaczęła wśród nich grzebać:

— Papier jest trochę zmięty, ale to nic nie szkodzi... Pióro kiepskie, ale się jakoś napisze — tylko, że atrament wysechł...

— To dolej wody... Ale co ty chcesz pisać...

Stefka nie odpowiadając matce, zasiadła do pisania. Namyślała się dłuższą chwilę, wreszcie zaczęła skrobać zepsutem piórem po papierze... Napisała kilka słów, przekreśliła, znowu napisała, kapnęła rozwodnionym atramentem na papier — wreszcie podpisała się zamaszyście...

„Panie Julianie — jedyny przyjacielu mój! — Wiem, że nie zasłużyłam na *współczucie* Pańskie, ale gdyby Pan jednak zechciał wysłuchać prośby mojej, to proszę!!! koniecznie przyjść *zaraz!!!* do nieszczęśliwej, opuszczonej, chorej.

Stefani Łączkówny.

— Tak będzie dobrze! — zakonkludowała i zwróciła się do matki, która zamierzała właśnie udać się do kuchni, skąd dochodziła woń gotującej się kiszonej kapusty.

— Mamo, zaniesie mama ten list Woźniewiczowi do biura!... Tylko zaraz, żeby go jeszcze zastać...

Łączkowa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Woźniewiczowi?

— No, tak!

— A poco?! Nie mam czasu zresztą, obiad trzeba gotować...

— Co tam obiad, tu o ważniejsze rzeczy chodzi!... Chciała mama Woźniewicza na zięcia, będzie go mama miała!... Wyjdę za niego!...

Stara wzruszyła ramionami i machnęła ręką ze zniechęceniem.

— Nie rychło Marychno, po śmierci wędrować! W sam czas się wybrałaś!... kiedy tamtemu już na *Wenikratur* z inną dzwonią...

— Jeszcze nie oddzwonili!... Wszystko jeszcze odrobić można, tylko niech się mama spieszy, moja mamo!...

— A dajże mi święty spokój, waryatko!... Nie słyszałaś to, że pojutrze ślub!...

— Mamo — idźże już mama!... — Stefa zaczęła tupać nogami w gniewnem zniecierpliwieniu.

— Nie pójdę! Także coś! Na pośmiewisko i wstyd...

— Jak mama nie pójdzie to ja sobie co złego zrobię!... Mama mnie nie chce ratować, dopomódz mi... Będziesz mnie mama miała na sumieniu!...

Matka zrezygnowana wyciągnęła po list rękę.

— No! dajże, zaniosę już, choć to się psu na budę nie zda!... Stefka, ja ci mówię, że ty masz — Boże odpuść! dyabła w sobie!...

— Prędziutko, moja mamo — prędziutko!...

Łączkowa, zarzuciwszy na ramiona szal, wybiegła, a Stefka zabrała się do swej toalety. Nalała do miednicy ciepłej wody, umyła się starannie, upudrowała i uróżowała leciutko, dyskretnie... „Zrobiła" sobie brwi, oczy podkreśliła ołówkiem, a potem jęła rozczesywać i ondulować swoje niedługie, ale gęste, puszyste, złote włosy... Ręce, szyję, ramiona natarła perfumami, włożyła jedwabny szlafroczek, na którego rezedowe tło rzucone były efektowne ekspresyonistyczne esy floresy, nogi wsunęła w pantofelki ze złoconej skórki i zabrała się do porządkowania pokoju... Otworzyła okno, pozamykała kufry, wyniosła do kuchni brudne talerze na otomankę rzuciła kilim, a na stole postawiła dzbanek wonnego fioletowego bzu, którego gałązkę przypięła sobie do szlafroczka...

Czyniła to wszystko pospiesznie gorączkowo... Kiedy już byłą gotowa ułożyła się na otomance w malowniczej pozie, wzięła do ręki starą książkę o zniszczonych okładkach — jakiś dodatek do „Bluszczu" — jedyną zresztą książkę, jaka się w mieszkaniu znajdowała, twarz oblekła w wyraz łagodnego cierpienia i melancholijnej słodyczy i czekała... Nie czekała długo... Zanim miała czas znudzić się. otwarły się drzwi i z poza wysokiej, barczystej Łączkowej wychyliła się szczupła postać Juliana Woźniewicza, jego twarz mizerna, delikatna, łagodna, a oczy jasne prawie bezbarwne spojrzały na Stefę... Przywitała go smętnym uśmiechem i wdzięcznem skinieniem głowy, nie powstając jednak z otomanki... Jednocześnie rzuciła matce znaczące spojrzenie i Łączkowa dyskretnie usunęła się do kuchni.

Julian stał na środku pokoju, nie wiedząc co ma robić ze sobą, co mówić, jak się przywitać... Stefa wydała mu się tak niesłychanie piękną, że niemal piękniejszą jeszcze od tej, którą widywał w snach swoich... I przy tem taka biedna, taka smutna... Serce mu wezbrało bezmierną miłością i współczuciem... Łączkowa schwytała go w chwili kiedy wychodził już z biura zamierzając udać się do domu... Czekała na niego Kazia z którą miał iść razem do przedślubnej spowiedzi... Gdy przeczytał list Stefy — walczył chwilę ze sobą... Poczucie obowiązku i honoru wzywało go do narzeczonej. Ale głos namiętności i tęsknoty za Stefą, był silniejszy... Chcąc uspokoić sumienie — powiedział sobie: „Ona chora nie mogę odmówić przecież prośbie chorej... Zajdę tylko na chwilkę... Kazia i matka nie dowiedzą się o tem..." — I poszedł.

— Panie Julianie...

— Pani...

Wyciągnęła do niego rękę:

— Niechże pan podejdzie bliżej i poda mi rękę... Chyba, że pan tak mną pogardza, tak mnie nienawidzi...

Głos jej zadrżał, jakby ją dławiły łzy.

— Ja, panią?!... Jak pani może... — podszedł szybko ku otomance, pochwycił podaną mu dłoń i przycisnął do ust.

— Niech pan siada... Ale nie tam na krześle... tu obok mnie... — usunęła się, robiąc mu miejsce na otomance. Nieśmiało siadł na brzeżku...

Stefa westchnęła.

— Jak pan się mnie boi!... jak złego ducha...

— Ależ nie...

— Tak, tak, wiem, że pan mnie uważa za najgorszą kobietę, że pan się na mnie gniewa...

— Ja się na panią nie gniewam...

Bliskość jej ciała, zapach płynący od niej, dźwięk głosu — oszałamiały go tak, że tracił pamięć o wszystkiem, co było poza nią... Słaba natura poddawała się prawie bez walki...

— Panie Julianie, gdyby pan wiedział, jaka ja jestem nieszczęśliwa... No! niechże mi pan spojrzy w oczy... — chwyciła go za ręce i napół uniosła się, hypnotyzując go czarem swych kocich źrenic.

— Panno Stefo...

— Tak, jestem bardzo nieszczęśliwa, źli ludzie mnie skrzywdzili, a pan mnie nie obronił...

— Ja?...

— A któżby inny mógł być moim obrońcą, jeśli nie pan — jedyny mężczyzna, do którego mam zaufanie... Ale pan mnie zawiódł... Opuścił mnie pan, pozostawił samą, bez opieki, bez rady, choć wiedział pan, że czyhają na mnie...

Ściskała coraz silniej jego ręce w swoich dłoniach. Woźniewiczowi mąciło się w głowie... Dyszał ciężko, jak człowiek w gorączce.

— A cóż ja mogłem zrobić? — wyszeptał — kiedy pani mnie nie chciała...

Przychyliła bliziutko swoją głowę do jego bladych poprzednio, a w tej chwili pałających policzków.

— Jakto? Więc pan mnie do tego stopnia nie zrozumiałeś?! Nie zrozumiałeś, że jeżelim postępowała, tak jak postępowałam — to tylko dlatego, że... że... pana... że ciebie kochałam...

Julian teraz już naprawdę nie zdawał sobie sprawy, czy to sen, czy jawa, czy jakaś obłąkańcza halucynacya.

— Pani... mnie... więc dlaczego...

— Ależ dlatego, że nie chciałam stać ci się kulą u nogi!... Jestem biedna, pan także nie masz majątku... Bałam się, że, żeniąc się ze mną, zepsujesz pan sobie karyerę...

Myśl trzeźwa przeszyła nagle ostrym drucikiem mózg Juliana. „Kłamie" — krzyknął rozsądek, ale go odrazu zasypała lawa namiętności... Stefa była zbyt blisko, a Julian za długo dręczył się tęsknotą i zazdrością... Miłość chce wierzyć, choćby wiedziała, że ją oszukują...

— Widzę teraz, że zbłądziłam... Przez nadmiar skrupułów straciłam sama szczęście, a panu nic dobrego nie zrobiłam... Przecież pan się żenisz... z tą Kazią — ha! ha! ha!...

Zaśmiała się gorzko.

— Tak, ona była mniej skrupulatna!... bo ona pana nie kocha, jej chodzi tylko o to, żeby złapać męża, bo się zestarzała, a nikt jej nie chciał...

Julian przez pół tylko rozumiał to, co mówiła; zamroczony tą falą szczęścia, która uderzyła w niego tak niespodzianie i tak gwałtownie, że aż mu ból sprawiła... „Kazia... spowiedź... matka..." zamajaczyło mu w myśli, ale żadna siła nie zdołałaby go teraz oderwać od Stefy. A ona nagle puściła jego ręce i odepchnęła go od siebie.

— Dobrze! żeń się z nią!... żeń! idź do niej!... Niech się ze mną stanie, co się ma stać!... Niech zginę marnie!...

Wybuchnęła płaczem.

— Pani... Stefo!...

— Idź!... idź do niej!... — szlochała.

— Posłuchaj...

— Nie chcę już nic słyszeć?... Pocoś tu przyszedł?... żeby mnie zadręczać!... Boże!... Boże! jakam ja nieszczęśliwa!...

— Stefo!... Stefciu!...

Padł na kolana przy otomanie i głowę swoją do nóg jej przycisnął.

— Wybacz mi, ale to się stało mimo mej woli!... ja tylko ciebie jedną kochałem!...

— Nie wierzę!... gdybyś mnie był kochał...

— Jakiż mam dać dowód? — ręce jej obnażone do przedramienia okrywał chciwymi pocałunkami.

— Żenisz się przecież z Kazią!...

— Nie! nie ożenię się z nią...

Zaledwie to wymówił — przeraził się własnych słów, ale już było zapóźno... Stefa już się ich uchwyciła.

— Naprawdę? nie ożenisz się?...

— N...ie...

— Zerwiesz z nią?...

— T...ak...

— O! mój najdroższy!... Psiaczku mój!... teraz wiem, że mnie kochasz...

Białemi, gorącemi ramionami otacza szyję Juliana, biedną, chudą szyję wychylającą się nieśmiało z pęt sztywnego śnieżnego kołnierzyka... W ogniu pocałunków topi się kruchy metal wahań i skrupułów Juliana...

— Stefa moja!... bóstwo moje...

W tej chwili otwierają się drzwi i ukazuje się w nich Łączkowa z miną groźnie zdumioną, z faluternym błyskiem w oczach...

— Rany Boskie!... co to znaczy?!...

Julian zrywa się na równe nogi prawie do nieprzytomności. Dla Stefy pojawienie się matki nie jest żadną niespodzianką... Toć prawie pewną była, że stara podsłuchuje pod drzwiami...

Powoli uśmiechnięta, zaróżowiona ślicznie wstaje z otomany:

— Mamo! przedstawiam mamie mojego narzeczonego!...

Łączkowa przeżegnała się:

— Co? co? przecież pan Woźniewicz się żeni!...

— Żeni się ze mną!... Tamto zerwane!...

Woźniewicz stoi ciągle nieruchomy, oszołomiony, milczący.

Stefa trąca go łokciem i szepce:

— No! mówże coś... Oświadcz się...

I on to czuje, że wypada mu coś powiedzieć, ale słowa więzną mu w gardle.

— T...ak... to... jest... chciałem pro... sić... panią...

Łączkowa rozpościera ponad głowami młodych swoje grube, pachnące mydlinami i kiszoną kapustą ręce:

— A! skoro tak... to błogosławię was, moje dzieci!... A kiedyż ślub?...

— Jak najprędzej!... — decyduje Stefa — Mamo, mnie się zdaje, że tam się w kuchni coś przypala...

Łączkowa rozumie, że córka chce, aby jej zniknęła. Posłusznie wycofuje się do kuchni mrucząc pod nosem.

— A to ci *śpekulant* dziewczyna!... Będzie zięć!...

— Stefa tymczasem nie chce tracić ani chwili czasu.

— Słuchaj — mówi do Juliana — musisz zaraz zerwać z tą idyotką!... A to się dopiero zdziwi!...

Śmieje się tryumfująco w poczuciu swego zwycięstwa, a Julian chyli głowę, jak zawstydzony... Rozumie dobrze, że jego postępowanie wobec Kazi urąga wszelkim wpojonym weń zasadom honoru... kompromituje strasznie dziewczynę... Toć, to po zapowiedziach... do wesela wszystko przygotowane... pojutrze miał być ślub...

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

3)

A wtedy Edward pod dywanem, na którym w tej chwili leży w krwi Iza, otworzył tajemną skrytkę do dużego lochu pod sypialnią. Oświetlono go i wniesiono do środka, co najpotrzebniejsze.

Ale sami zejść mieli do wnętrza dopiero w ostatniej chwili prawdziwego niebezpieczeństwa.

— Bo to jak grób — szeptała Iza z zabobonnym lękiem.

I pamięta Edward, jak około północy stał przy oknie, okiennicą osłoniętem i ucho trzymał przy otwartym wentylatorze w ramie okiennej.

Wśród ciszy nocnej z drugiego końca miasta wiatr od rzeki nadnosił aż tu wyraźne echa bitwy w mieście. Słychać było dokładnie wrzawę.. zgiełk walki... i krzyki wśród strzelaniny...

Powtarzał żonie szeptem co chwila wszystko, co słyszy...

Ona zaś, nad lochem otwartym siedząca, wysłuchiwała słów jego... ale myślami biegła kędyś dalej... indziej...

— Edi, wiesz — mówiła — gdyby tak wśród strzelaniny ulicznej wpadła kula przez okno... i zabiła ciebie... a nie tknęła mnie... to jabym chyba oszalała.

Jak żywo ta noc... ta jej myśl... i słowa Izy ówczesne... przypomniały się teraz męczącemu się bezradnie duchowi Edwarda.

Stało się: on nie żyje, ona została.

Widziała wszystko. W jednej minucie przeżyła wiek nadludzkiej męki.

Jego mózgiem zbryzgana... krwią jego serca oblana... zmartwiała... ale żyje... żyć będzie... A jeśli ona po tem wszystkiem oszaleje?

Coś bólem niewymownym zatrzęsło całą istotą Edwarda. Chciał zawołać po imieniu... chciał z całej siły... i wreszcie krzyknął:...

— Izo!

A wtedy na dywanie w krzepnącej krwi kałuży, ciało kobiece po raz pierwszy lekko drgnęło.

III.

Nad miastem, skąpanem w złotych pyłach pogodnie zachodzącego słońca, snuły się dymy wielkiej pożogi, ale ciszy wieczornej nie mąciła wrzawa.

Tylko kołokoły z pod złotych bań soboru, zapowiadające święto nazajutrz, ucichły — a na ganku minaretu zjawił się muezin i monotonnie a patetycznie ałłakał przez chwilę i zniknął.

Cicho już było dokoła, gdy na opuszczony, zaśmiecony ogród przy meczecie weszła Iza. Sunęła po ścieżkach jak widmo.

Wszędzie było pusto, ławki dawno stąd zniknęły, więc szła dalej.

O twarz jej obijały się blaski wielkiego pożaru. To nieopodal, w pośrodku rozległych placów i skwerów, dogasał potężny ogień, w którym do szczętu spłonęły całym kompleksem stare gmachy akademii.

Nikt nie ratował — i pożar spokojnie, bez wiatru, trawił wszystko przez trzy dni i noce, najdłużej pracując nad wielką biblioteką. To w niej paliło się jeszcze, to z niej podnosiły się ciągle kłęby ciemnych pyłów, któremi zasiana była cała połać miasta...

Iza szła teraz po takim miękkim kobiercu zwęglonych kart książek i broszur. Tu i ówdzie noga jej stąpała po takiej karcie niedopalonej, na której jeszcze czytać się dało teksty całe.

Myśli jej były spokojne. Wzrok jej nieraz zatrzymał się na wyraźnym wśród spopielałego papieru tytule, ale przesuwał się dalej bez wzburzenia.

Tylko naraz, gdy w uszach zadźwięczał daleki dzwon z kościoła, Iza przystanęła i cała trząść się zaczęła, jakby w takt tej muzyki dzwonu na wieczorny Anioł Pański.

Żałość ją wielka ogarnęła.

Przyśpieszywszy kroku, przysiadła na jedynej w ogrodzie ławce.

Już dzwonu słychać nie było, a jej jeszcze długo w uszach grało...

...Pamięta, jak raz Zygmunt tonami malował w improwizacyi obraz takiego wieczoru i jak świetnie oddał dźwiękami kołokoł cerkiewny... i muezina ałłakanie... i ten Anioł Pański ze szczytu wieży gotyckiego kościoła...

Tak samo... tak samo, tak tu przed chwilą, tam pod jego palcami dzwoniły klawisze fortepianu...

— Zygmuncie — szepnęła.

A wtedy on przy niej usiadł na ławce i zaczął szeptać takim głosem, jakim pod jego palcami czasem szemrały klawisze w subtelnych pianissimach.

— To tak w tej chwili, Izo, tam, w naszym kraju dzwonią kościoły o wieczornej ciszy... I w dusze stęsknionych za nieobecnymi leją balsam ukojenia... Widzisz, ty jeszcze nie możesz tego tak ogarnąć uchem duszy, jak ja już słyszę... Dla mego słuchu, Izo, już niema granic, poprzez które wrócić nie wolno z wygnania... z niewoli... z więzienia... Ja tam już bywam u nas, w naszych stronach... A w ten kraj, piekłem zła ziejący, zachodzę jeno dla matki... i dla was... dla ciebie, Izo...

— Zygmuncie — wydarło się z piersi kobiety.

A w tej chwili właśnie wiatr zawiał od strony pożaru i włos jej złoty, przysłoniony welonem, obsypał deszczem papierowych popiołów.

— Dla ciebie, Izo, przychodzę — powtórzył jej nad uchem głos muzyka.

Przez chwilę cisza była wielka i tylko serce jej dzwoniło głośno.

A potem do ucha szeptać jej zaczęło coś cudowną melodyę walca eterycznego, który Zygmunt utworzył raz w dniu jej imienin i nazwał go „Motyl i róża".

Dobrze miała go Iza w pamięci.

To nie motyl, ale duch nad kwiatem róży śpiewał w tanecznym rytmie.

I oto nie wie w tej chwili, czy tylko tę melodyę słyszy, czy też głos Zygmunta.

— Dla ciebie, Izo, powracać będę wszędzie i wiecznie... Dla ciebie, Izo, płynęła pieśń moja... Dla ciebie grały w piersi uczucia...

— A czemuś milczał? — spytała.

Nastało milczenie głębokie. A potem zagrały dwa serca najpiękniejszą pieśń miłości milczącej.

Fioletowe mgły wieczornych zmierzchów zaczęły miękkimi welonami owiewać meczet i wieżę minaretu, a potem opadać coraz ciemniejszymi woalami w głąb ogrodu i szarą pajęczyną mroku zasnuły ławkę, na której siedziała Iza.

— A ty... a ty — pytał raz za razem Zygmunt — czy mi przebaczysz, że kochając przyjaciela, nie umiałem zdławić w sobie płomiennej miłości dla jego żony...

— Zygmuncie... ja dzielić umiałam miłość pomiędzy was obu. Ja nigdy Edwarda nie zdradziłam... A jednak ja cię kocham, Zygmuncie... Ja cię tak kocham, jak jego... I to serce dziś rozdarte dzielę między was obu... Całego dać ci nie mogę... Ale połową duszy należę do ciebie... I tylko nie mogę dziś już przed nim milczeć... Pomóż mi, Zygmuncie, pomóż mi wyznać...

I naraz uczuła Iza, że na ławce nie jest z nim sama. Wszak przy niej po prawej stronie siedzi Edward, a po lewej Zygmunt. Obu ich ma przy sobie.

I tylko krwi nie widzi... tej krwi, co tam została w sypialni... na łóżku... nad łóżkiem... i na dywanie...

— Izo — słyszy z ust Edwarda, a w tym głosie nic z wyrzutu, nic, tylko miłość wielka, tak wielka, że się nie kończy tam, gdzie kula rewolweru przygważdża mózg do ściany...

— Edi, Edi — szepcze głosem najczulszym, na jaki zdobyć się może pierś kobieca.

— Edwardzie — mówi Zygmunt — czy ty nam przebaczasz, żeśmy oboje, kochając się nawzajem, miłowali ciebie.

— Przyjacielu — odzywa się głos Edwarda — jam nie był o ciebie zazdrosny... Oboje kochaliśmy jednako pieśń twego ducha.

— Edi... więc kochasz mnie nadal bez żalu?

— O! żal mi, Izo! żal mi strasznie życia... Nie mam czem płakać... a łzami oblewałbym każdy krok mego życia... tak mi go niewymownie żal, że się już skończyło tam przy was... i trwając tu, może trwać jeno inaczej..., ale już nie tak, jak pragnąłem jeszcze...

— Edi, a jeśli ja do ciebie pójdę?...

— Nie, Izo, już wiem, że zostaniesz.

— Więc już wiesz...

— Cośkolwiek wiem... ale bardzo mało nad to, że się męczę, nie mogąc ci życia odmienić.

— A jeżeli będziecie obaj towarzyszyli mi przez życie, przychodząc do mnie stamtąd, czy życie moje wtedy bardzo będzie ciężkie?

— Nie wiem — rozpaczliwie jęknął głos Edwarda, ale go Zygmunt pocieszył:

— Czuwać nad nią będziemy.

— Zazdroszczę ci, Zygmuncie, spokoju. Tyle w tobie rezygnacyi... gdy we mnie jeszcze się nie wypaliła burza... Aleś ty był inny... zawsze cię takim pamiętam... pełnym spokoju... Czy ci nie żal ziemskiego życia?

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Tęskniłem do Kraju... kochałem matkę i Izę... Dziś jest coś, przedtem dla mnie niepojętego, co mi daje wszystko, za czem tęskniłem... i wszystko, co miłowałem... Mam to... ogarniam rozmiłowanym wzrokiem zbliska... Więc nie czuję tego żalu tęsknoty, jeno jakąś cichą rozkosz, żem to już uzyskał... i jeno wielki ból i smutek głęboki przejmuje mnie na widok tego, co się dzieje tam... między wami.. Ogarniałem to myślą pełną grozy... Dziś okiem wyzwolonego ducha widzę wszystko, jak sokół, cały kraj u stóp swoich widzę... i boleję.

— A ja, Zygmuncie, ja, com tyle na ten temat przemyślał... zgnębiony smutnym stanem rzeczy... dziś nie mogę nic dojrzeć z tych szerokich horyzontów... bo mi jakiś opar krwawy... jak w momencie konania... zasłonił wszystko... A w źrenicy jeden obraz zostawił: rozpaczliwą dolę Izy.

— Uspokój się, mój Edi, przetrwam... I to się przecież skończy... odmieni... Nie rozpaczaj, Edi...

— Gdybym mógł, tak jak Zygmunt, z rezygnacyą spojrzeć z góry... możebym się czuł inaczej... A tak... wiem, że się męczyć będę okrutnie... Jakże mi czasem strasznie brak ludzkich rąk i ludzkiego głosu... Próbowałem... Czasem mogę sobie wszystko zastąpić... i to czemś, co mi się wydało mocniejsze... Ale czemu nie mogę zawsze, gdy zechcę?

— Spokoju, Edwardzie, może i na to czas przyjdzie... I ja przez pierwsze dni przechodziłem przez taki stan walki z samym sobą... A dziś już czuję się pogodzonym ze wszystkiem... i płynąć chcę dalej nad ziemią... jak moja pieśń... Pociesz się, Edwardzie, i twój sztandar biały tak popłynie spokojnie nad tem trzęsawiskiem krwawem... gdy się dopalą pożogi... gdy pogasną zgliszcza...

— Kiedy we mnie... widzisz... jeszcze krew gorąca się dymi... jak z tego mózgu, co obryzgał Izę...

Na to Iza krzyknęła głośno i zerwała się z ławki, na którą zwalił się pijany żołdak.

Została sama. Wydało jej się naraz, że zabrakło przy niej Edwarda i Zygmunta. Uczuła się opuszczoną, samotną...

Rzuciła się do ucieczki.

Żołdak za nią poskoczył. Zaczepił się raz i drugi i o drzewo, ale z krzykiem dopadł jej, jednak pod krzakami.

Już mocne jego ręce zgniatały jej łokcie, gdy naraz Iza krzyknęła:

— Edi... Edi!

A wtem żołdak, wypuszczając ją z rąk, odwrócił się, spojrzał w stronę łuny pożaru... oczy wybałuszył... białkami zaczął przewracać... i skrzywiwszy się potwornie na pijackiej twarzy, zwalił się na ziemię jak długi.

Iza zgubiła się w mrokach ogrodu. Pod meczetem natknęła się na jakichś ludzi i pierzchnęła w ulicę.

Do domu nie łatwo było jej się dostać, gdyż całe mieszkanie dawne Edwardów i sąsiada ich, jenerała, zajęte było na sztab jakiejś armii. Wszędzie więc dokoła domu włóczyło się żołdactwo.

Z wielkim trudem dostała się na podwórze i do studni przypadła, przy której właśnie wodę brała jenerałowa, dawna jej sąsiadka, a dziś najbliższa niedoli towarzyszka: spółlokatorka sypialni Izy.

W całym domu był to w tej chwili jedyny pokój cywilny. Zajmowały go te dwie kobiety z resztką swoich rzeczy.

Spały na podłodze, każda na własnym materacu, bo im łóżka zabrano dla wojskowych.

Materac Izy leżał na dywanie, krwią Edwarda przepojonym, a znajdował się prawie w pośrodku pokoju, przysłaniając sobą ukryte drzwiczki do lochu pod podłogą.

Dzięki temu posłaniu wdowy po zastrzelonym Edwardzie, nie zauważono dotąd podczas licznych w domu rewizyj tej skrytki.

Iza, na wszystko zrezygnowana, mało o nią dbała, ale jej towarzyszka z trwogą śmiertelną ciągle myślała o tem ukryciu. Tam bowiem mieściły się jej kufry.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika tygodniowa

Wróciliśmy nareszcie po świętach wielkanocnych, które się już naprawdę skończyły, do zwykłego codziennego trybu życia, na którego programie znajduje się przedewszystkiem sprawa zjazdu genueńskiego, będącego tematem rozmów, rozmyślań i lektury.

Do zjazdu genueńskiego nie przykładaliśmy nigdy wielkiej wagi, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że gdzie wchodzi w grę interes, tam o porozumieniu jakiemkolwiek mowy być nie może, nie przypuszczaliśmy jednak, a z nami i świat cały, że czeka nas niespodzianka, o jakiej się nikomu, nawet Lloydowi Georgeowi, nie śniło. Tak przynajmniej udaje, grożąc pięścią w stronę Niemiec i Rosyi Sowieckiej, a w duchu zastanawiając się nad tem, czy przypadkiem Anglia, łącząc się z Niemcami i sowietami, nie wyszłaby na tem lepiej, niż na odbudowie Europy wedle planu konferencyi genueńskiej, która radzi już trzy tygodnie, dotąd nic nie uradziła, a nikt nie może przysiądz, czy nie rozleci się, zanim kronika opuści prasę drukarską, bo to nadszedł już maj, a w tym czasie nawet i politykom przychodzą czasem do głowy płoche i swawolne myśli, chętnie zatem skorzystają z pierwszej lepszej nadarzającej się sposobności, aby się rozjechać i prowadzić dalej politykę każdy na swą rękę.

Politycy niemieccy i sowieccy pokazali światu, że można sobie nic nie robić z tego, czego żądają sfery kierujące dziś losami świata. Nie ulega kwestyi, że nie byłoby do tego doszło, gdyby nie podwójna gra Anglii, która uszuchwaliła Niemcy, pewne z jej strony, jeżli nie otwartego poparcia, to bodaj wyrozumiałego ojcowskiego przebaczenia, za krok, który światu, a przedewszystkiem Europie, grozi rozpętaniem nowej wojny. Poprzednia, jak głoszono ogólnie, toczyła się w obronie kultury i cywilizacyi, oraz uwolnienia świata od zmory militaryzmu. Skutków jej dotąd nie widzimy i długo jeszcze trzeba będzie na nie czekać, a tu tymczasem mamy w zanadrzu nową wojnę, której celem wprowadzenie militaryzmu i imperyalizmu na dawne, przedwojenne tery. Anglia wprawdzie wystąpić ma na konferencyi genueńskiej z wnioskiem dziesięcioletniego „pokoju Bożego", połączonego z wstrzymaniem wszelkich zbrojeń i zapewnieniem sobie nawzajem przez poszczególne państwa nietykalności granic, sam jednak inicyator tego pomysłu Lloyd George, w to nie wierzy, aby się na jego propozycye zgodzono. Ma ona być, jak twierdzą złośliwi, przekonaniem całego świata o wybitnie pokojowem usposobieniu kierujących kół angielskich, którym zresztą nie chodzi wiele o zbrojenia lądowe, wszystkie zaś zapasy, jakie pozostały z czasów poprzedniej wojny Anglia już rozsprzedała, do wyrobu nowych nie zabiera się zaś, nie chcąc ich sprzedawać na kredyt interesowanym, znajdującym się naogół w bardzo opłakanych stosunkach finansowych.

Chaos powojenny, który zdawał się jakoś się powoli układać, dzięki niespodziance genueńskiej, zgotowanej wspólnemi niemiecko-bolszewickiemi siłami, wzmógł się jeszcze bardziej, a nastrój wojenny staje się z dnia na dzień coraz wyraźniejszy, zwłaszcza, że Francya, przez usta swego premiera oświadcza kategorycznie, że postanowienia traktatu wersalskiego muszą być najskrupulatniej wykonane aż do ostatniego punktu, że zatem koniec maja rozstrzygnie, czy światu grozi wojna, czy też może spodziewać się pokoju. Zależy to od stanowiska jakie zajmą Niemcy o ile to dotyczy wykonania przez nie wziętych na się zobowiązań. Po zawarciu umowy z Rosyą sowiecką, czując się pewniejszymi siebie, gdyż mają już poza sobą otwartego sprzymierzeńca, Niemcy będą się starały wykręcić w dalszym ciągu od spełnienia zobowiązań, ponieważ zaś Francya zdecydowaną jest na użycie wszelkich przysługujących jej środków zmuszenia opornych do poddania się postanowieniom i wypełnienia zobowiązań dobrowolnie na się przyjętych, łatwo stać się może, że nad Renem zagrają surmy bojowe, a równocześnie ruszy się od wschodu bolszewickie robactwo, aby znaleźć bezpośrednie połączenie ze swym niemieckim przyjacielem i wspólnikiem. Jedynym środkiem ratunku, który mógłby Europie zagwarantować spokój, byłoby energiczne i stanowcze wystąpienie Anglii przeciw nowemu sojuszowi, bez względu na to czy interes angielski, czysto kupiecki, straci na tem czy zyska. Wspólna i zgodna akcya Anglii, Francyi, Polski, małej Ententy i państw bałkańskich unicestwiłaby zakusy Niemiec i sowieckiej Rosyi i tylko w tym wypadku można liczyć na utrzymanie równowagi politycznej w Europie. Anglia powinna raz przecież zdać sprawę z tego, jaki na niej cięży obowiązek, jako na faktycznej kierowniczce politycznego światowego zespołu i pomyśleć nietylko o sobie, lecz także i o innych, zwłaszcza, że nowa zawierucha światowa i dla niej samej mogłaby się skończyć bardzo fatalnie.

Pozostajemy zatem pod wrażeniem lada dzień wybuchnąć mogących nowych, a zupełnie niepożądanych zamieszek, do podtrzymania tego nastroju wojennego przyczyniają się zaś w pierwszym rzędzie przedewszystkiem Niemcy, podnoszące głowę coraz otwarciej i bezczelniej i mówiące Koalicyi, nie słowami, lecz faktami, że z niej nic sobie nie robią, a jej wszelkie zarządzenia budzą u nich tylko uśmiech politowania, wiedzą bowiem dobrze, że wobec braku zgody między poszczególnymi członkami nie posiada ona siły do ich przeprowadzenia. Tem się tłómaczy coraz bezwzględniejsze postępowanie ich na Górnym Śląsku, ukoronowaniem zaś wszystkiego było podpisanie w Rapallo układu ze Sowietami, przekreślającego z góry wszystko to, co konferencya mogłaby kiedykolwiek postanowić lub czem mogłyby się zająć następne bez których z pewnością się nie obejdzie. Narazie, dzięki niejasnemu stanowisku Anglii, a zupełnie otwartemu Niemiec i Rosyi stoimy wobec przyszłości przedstawiającej się w kolorach bardzo ponurych i to w okresie stosunkowo niedługim, jak bowiem utrzymują znający dobrze stosunki wystarczy zupełnie trzy do czterech miesięcy gospodarki Niemców w Rosyi, aby mieć ze strony swego nowego sojusznika zapewnioną wydatną pomoc.

Niemieccy inżynierowie pracują już nad podniesieniem z ruin rosyjskiego przemysłu, niemieckie fabryki dostarczają dla Rosyi potrzebnych maszyn, broni i amunicyi, Europa patrząc na to wszystko, musi sobie powiedzieć, że mogło się to było wszystko dostać w jej ręce, jeżli zaś stało się inaczej, to tylko dlatego, że każdy chciał interesy robić na swoją własną rękę, nie myśląc bynajmniej dzielić się zyskiem z kim innym.

Wojownicze napięcie, dające się wyczuwać w całej Europie, nie pozostało też bez wpływu i na nasze partye polityczne. Między narodowymi demokratami a ludowcami z pod znaku „Piasta" toczy się stale zacięta walka podjazdowa, niechaj jednak ktoś przypadkiem nie myśli, że jednej lub drugiej partyi rozchodzi się o dobro ogólne, gdyż tylko własny interes mają obie na celu, a jedna drugiej nie może darować, że tamta, a nie ona porasta szybciej w pierze. W tem należy szukać przyczyny występowania jednych przeciw drugim, oczywiście pod pretekstem, że staje się w obronie zagrożonego interesem ogółu. Jednym z podobnych epizodów było wytoczenie przed forum sejmowem sprawy Dojlid którego epilogiem była dymisya prezesa Głównego Urzędu Ziemskiego dr. Kiernika, jednego z głównych matadorów obozu piastowskiego. Dało to powód posłowi Witosowi, prezesowi stronnictwa ludowego do zamieszczenia w numerze świątecznym swego organu „Piast" artykułu o tak wojowniczej treści i napisanego w takim tonie, jakiego nie powstydziłby się smutnej pamięci Szela. Poseł Witos omawiając upadek dr. Kiernika i ataki przeciwnych stronnictw skierowane na ludowców „ zpod znaku „Piasta", daje do zrozumienia zupełnie nie dwuznacznie, że on i jego zwolennicy zdecydowani są za wszelką cenę do przeprowadzenia postanowień reformy agrarnej i nie cofną się przed niczem, aby usunąć z drogi te trudności, jakie ich przeciwnicy polityczni stale przygotowują. Powiada między innymi poseł Witos, że chłop polski krwią swoją okupił prawo posiadania ziemi i ziemię tę musi otrzymać, choćby nawet miał się chwycić najenergiczniejszych środków, mających mu zapewnić spełnienie jego żądań. Wspominając o krytycznych chwilach w jakich Polska znalazła się w roku 1920., daje, tem do poznania, że wówczas tylko chłopi kraj uratowali od grożącej mu zagłady, że zatem utrudnianie reformy agrarnej jest aktem czarnej niewdzięczności wobec polskiego chłopa, zbawcy Ojczyzny.

Na tym punkcie nie możemy się zgodzić z panem posłem i prezesem, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że wówczas uratował kraj nasz od niechybnej zagłady wspólny wysiłek wszystkich, powiedzielibyśmy z pewnością nie mijając się z prawdą, że procent obrońców, rekrutujących się z pomiędzy tak zwanych „surdutowców", czyli inteligentów, był absolutnie większy od spieszących w szeregi rolników, a także i robotników. Jeśli zatem chłop polski krwią swą zdobył sobie prawo do posiadania ziemi, to również i inteligent ma do niej zupełnie te same prawa i z tego samego powodu, a chłop absolutnie nie może sobie rościć pretensyi do jakiegokolwiek uprzywilejowania.

Nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami zaopatrzenia w ziemię bezrolnych i małorolnych, nie podzielamy jednak zapatrywań niektórych sfer dążących za każdą cenę do stanowczego zniesienia wielkiej własności, to bowiem musiałoby się odbić fatalnie na stosunkach ekonomicznych naszego kraju. Nie zwalczamy zatem samej zasady, jedynie metody, stosowane przy jej przeprowadzeniu, bardzo często zupełnie fałszywe, dogadzające może jednostkom, ogółowi przecież przynieść muszące nieobliczalne wprost straty. Jeżli zatem stronnictwa przeciwne ludowcom utrudniają wprowadzone z całym rozmachem w życie reformy agrarnej, czynią to bynajmniej nie z zawiści wobec piastowców, lecz jedynie w obronie własnych swych interesów, bardzo poważnie zagrożonych. Przedewszystkiem mieszkańcy miast i wielkich środowisk przemysłowych powinni być zainteresowani w tem, aby wielka własność z horyzontu zupełnie nie znikła, jest ona bowiem pewnego rodzaju regulatorem cen, gdy natomiast, po jej zniesieniu, a przynajmniej gruntownem ograniczeniu, skazanym się będzie na łaskę i niełaskę drobnego producenta, ci zaś, jak doświadczenie uczy, nie krępują się bynajmniej jakimiś względami ludzkości, lecz bezlitośnie drą skórę z swego bliźniego, byle tylko skrzynie swe napychać banknotami, których nawet zliczyć nie potrafią.

Dziwi nas tylko jedna rzecz, mianowicie, że poseł Witoś, który chciałby uchodzić za „Ojca Ojczyzny", odzywa się do mas chłopskich w tonie, właściwym tylko jej wrogom, tłomaczymy sobie to jednak poniekąd zbliżającymi się wyborami i koniecznością szukania zaufania u swych wyborców, którym w ten sposób najłatwiej przemówić do rozumu.

Ciekawe także i to, że w naszej prasie codziennej przeszło się bardzo spokojnie nad owem Witosowem orędziem do porządku dziennego, nietylko szkodliwości podobnie demagogicznego występu nie piętnując, lecz nawet zupełnie milczeniem go pomijając, jak gdyby nie zasługiwał zupełnie bodajby na kronikarską wzmiankę. Czytaliśmy niedawno w *Kuryerku* narzekania na szerzone po mieście plotki, jakoby miał on wejść w służbę jakiegoś stronnictwa politycznego, gdy natomiast, jak otwarcie stwierdza, jest, był i będzie zawsze organem, mającym tylko dobro ogółu na celu, a nie jakiejś partyi. I spytać się godzi, czy nie należało właśnie w takiem piśmie poruszyć tą sprawę, dla ogółu mającą ogromne znaczenie, grożącą krajowi bowiem rozprzężeniem od wewnątrz i to w chwili, gdy od zewnątrz jest on także zagrożony. Nie tak to dawne czasy, jak każdy prawie numer *Kuryerka* starał się wykazać błędy polityki ludowców z pod znaku „Piasta", nagle jakoś wszystko się urwało i trzeba chyba przypuszczać, że albo się ludowcy poprawili, albo też zmienił się kąt widzenia redakcyi, niedopatrującej złego i to tam, gdzie ono tkwi widocznie.

Prasa krakowska przeszła bez głośniejszego echa do porządku dziennego również nad faktem, że zbiory artystyczne prof. Wyczółkowskiego, ofiarowane swojego czasu bezinteresownie naszej gminie, jako dar dla Muzeum Narodowego, dzięki opieszałości naszych matadorów dostały się w ręce Poznania. Gdy prof. Wyczółkowski oświadczył chęć oddania miastu na własność swej cennej galeryi, raczono przyjąć to do łaskawej wiadomości, oklaskami wyrażono ofiarodawcy podziękowanie i na tem się skończyło. Biegł miesiąc za miesiącem, nikt nie troszczył się o to, nasze czynniki kierujące mają bowiem głowę zajętą czemś ważniejszem od jakichś tam obrazów, bez których Muzeum się zupełnie obejdzie, a miasto mieć będzie mniej kłopotów, bo dziś już nie wie, gdzie zbiory muzealne ulokować, im ich zaś będzie więcej, tem większe sprawi to trudności. Oczywiście to lekceważenie sobie dobrych chęci zraziło prof. Wyczółkowskiego, a gdy o tem dowiedział się Poznań, rozpoczął starania o pozyskanie cennej galeryi, a zabiegi jego uwieńczył pomyślny skutek. Poznań okazał więcej zainteresowania dla sztuki niż polskie Ateny, wobec ofiarodawcy był hojniejszy, niż Kraków, wzamian bowiem za dar oddał artyście na własność stodziesięcio morgowy folwark i złożył kilka milionów na zagospodarowanie. Dziwić się nie można, że prof. Wyczółkowski, choć zrósł się z Krakowem, gdy go tak spostponowano, żegna się z nami i przenosi w Poznańskie, gdzie lepiej umieją cenić ludzi i ich dobre chęci.

To, co spotkało prof. Wyczółkowskiego, spotkać może i każdego innego, nie dziwmy się zatem, że ofiarność na cele Muzeum Narodowego w Krakowie zamiast wzrastać stale się zmniejsza, każdy bowiem wychodzi z założenia, przyznać trzeba zupełnie słusznego, że lepiej zbiory ulokować gdzieindziej, niż kłopotać nimi biedny Kraków, któremu sprawa muzealna tak dokucza, jak niejednemu ślepa kiszka, więc nawet wspominać o niej nie lubi, a tem mniej zajmować się poważniej podobnemi sprawami.

Radca Barącz może mówić o szczęściu, zdecydowano się bowiem nareszcie na wyszukanie pomieszczenia dla ofiarowanych przez niego zbiorów, które stanowić będą filię Muzeum Narodowego.

bne do przeciętnych burżujów, w zaniedbanym stroju, z dzikim wyrazem twarzy, tymczasem pokazało się, że na pierwszy rzut oka nikt nie odróżni najzacieklejszego bolszewika od zwykłego zjadacza codziennego chleba, przestrzegają bowiem członkowie sowieckiej delegacyi nie tylko najdalej posuniętych przepisów etykiety, lecz zważają także na najdrobniejsze szczegóły swej toalety, która zawsze jest bez zarzutu. Jakoś im wprawdzie nieswojsko we frakach i cylindrach, najchętniej się przecież w nich pokazują, uważając widocznie, iż ten uroczysty strój najbardziej odpowiada ich godności i powadze. Cylinder pana Cziczerina unieśmiertelniły aparaty fotograficzne, a podobizny jego spotyka się w prasie illustrowanej całego świata, ku rozgoryczeniu włoskich komunistów, nie mogących darować swemu rosyjskiemu koledze, że się tak na nim zawiedli, wyobrażając sobie go zupełnie inaczej, niż się im w istocie przedstawił.



Umizgi niemiecko-sowieckie: Kanclerz Rzeszy Niemieckiej dr Wirth w otoczeniu członków delegacyi sowieckiej w Genui. Dr Wirth, Krassin, Cziczerin, Joffe).

Ale nie tylko cylinder pana Cziczerina zabił klina w głowę międzynarodowych proletaryuszy. Narzekają oni na przedstawicieli sowieckiej Rosyi, że oni byli właśnie pierwszymi, którzy powstali z swych miejsc podczas odczytywania telegramu powitalnego króla włoskiego, nadesłanego na otwarcie zjazdu, a absolutnie darować im nie mogą, iż wzięli udział w przyjęciu delegatów przez Wiktora Emanuela, gdzie Cziczerin, tak się lojalnie zachowywał i tak ustawicznie kłaniał, iż król włoski podobno aż musiał go prosić, by dał spokój. Naodwrót Cziczerin, ratując swój komunistyczny charakter, oświadcza wszem wobec, że król włoski mu zaimponował, i że uważa go za zupełnie odpowiedniego na stanowisko prezydenta najbardziej komunistycznej republiki.



Cylinder pana Cziczerina: Przewodniczący delegacyi sowieckiej na zjeździe w Genui, kom. dla spraw zagran. Cziczerin, w drodze na posiedzenie komisyi.

Nie karmią się też bolszewicy w Genui, jak ogólnie przedtem przypuszczano, befsztykami z ludzkiego mięsa, lecz kuchnię swą zaopatrują w najwybredniejsze przysmaki, jak przepiórki, kuropatwy i tp., pragnienie zaś gaszą nie wodą zwykłą, lecz winem najlepszej marki.

Kto nosi na sobie frak i cylinder, stara się do nich dostosować i sposób swego życia, aby przekonać Europę, że dyabeł nie jest w istocie tak czarny, jak go niektórzy malują.

Zagadkowy fenomen psychiczny.

Obecne czasy mają to do siebie, iż nadzwyczajnie wzrosło zainteresowanie się ogółu rozmaitymi fenomenami życia psychicznego, które zwykły śmiertelnik, nie mogąc ich sobie wytłómaczyć w sposób dla siebie przystępny, uważa za coś nadprzyrodzonego. Przypominają się mimowoli różne dziwne i nieraz trudne do zrozumienia produkcye słynnych fakirów indyjskich będące przecież niczem innem, jak tylko następstwem niezwykłego wyrobienia nerwów u poszczególnych osobników, zarówno ich znieczulania, jak i nadmiernej wrażliwości. W każdym wypadku ma się do czynienia z ich stanem anormalnym, wyróżniającym owe jednostki z pośród ogółu i budzącym tem samem ogólne zainteresowanie, jako coś nadprzyrodzonego.

Korespondent nasz z Częstochowy nadsyła nam garść uwag o produkcyach w zakresie autosugestyi i autochypnozy niejakiego dra To Rhamy, które w ostatnim czasie obudziły tamże i w Warszawie ogólny podziw. Polegają one na zdolności dra To Rhamy chwilowego znieczulania poszczególnych części swego ciała do tego stopnia, że wobec widzów przebija oba swe policzki drutem, nie odczuwając przytem żadnego bólu i nie powodując upływu nawet kropelki krwi. To samo powtórzyło się, gdy pogrążonemu w stan kataleptyczny jeden z miejscowych lekarzy wbił mu szpilkę metalową w tylną część szyi... Nie mniejsze zaciekawienie wywołało zwężanie swych źrenic do wielkości główki od szpilki i zmiana barwy oczu, podnoszenie się tętna o 204 uderzeń na minutę, co wszystko po powrocie do stanu świadomości znikało zupełnie. Dr To Rhama twierdzi, że w czasie transu nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, co się koło niego dzieje, powróciwszy zaś do świadomości przypomina sobie bardzo mało z poprzedniego swego stanu.

Ciekawe również były doświadczenia, gdy z zawiązanemi przez lekarzy oczyma odgadywał płeć i poszczególne części stroju znajdujących się poza nim osób, chodził po linii krzywej, nakreślonej przez widzów, odczytywał i zliczał cyfry napisane przez otoczenie, wyczuwając je końcami obutych nóg i równocześnie wypisując je na specyalnej tabliczce.



Zagadkowy fenomen psychiczny: Dr To Rhama, którego produkcye w zakresie autochypnozy i autosugestyi obudziły w Częstochowie ogólne zainteresowanie w chwili przechodzenia w stan kataleptyczny.

Wszystkie te produkcye, jak nasz korespondent utrzymuje, powtarzane kilkakrotnie w Częstochowie, a także w Instytucie metapsychicznym w Warszawie, a wykonane bez pomocy medyum, tu i tam pod kontrolą sił fachowych, zjednały drowi To Rhamie miano zagadki XX. stulecia, a dla widzów stały się tematem rozmów i dociekań, gdzie szukać należy przyczyny tych nadzwyczajnych zjawisk i jak je sobie tłómaczyć.



Tragiczny zgon wybitnego krakowskiego footballisty: Ś. p. Bolesław Kotapka, jeden z najwybitniejszych członków K. S. „Cracovia“.

Żałujemy bardzo, że dr To Rhama bawiąc tak blisko Krakowa, nie zagościł i do nas, gdzie fenomeny metapsychiczne zajmują również szersze koła zwiększającej się coraz bardziej liczby badaczy życia duchowego.

Tragiczny zgon wybitnego krakowskiego footballisty.

Pierwsza drużyna K. S. „Cracovia" poniosła bolesną stratę przez tragiczny zgon jednego z swych najdzielniejszych członków, śp. Bolesława Kotapki, zmarłego w dniu 24. kwietnia b. r. skutkiem ran, odniesionych podczas sprzeczki, wynikłej z nieznanych bliżej powodów z braćmi Palczakami, lokatorami tej samej kamienicy przy ul. Topolowej l. 8, w której również śp. Kotapka zajmował mieszkanie wspólne z swym bratem Władysławem, sierżantem sztabowym. Wyniki śledztwa policyjnego w sprawie smutnego zajścia przedstawione zostały przez prasę codzienną w sposób dość niejasny, faktem jest jedynie, że krytycznej nocy przyszło do starcia słownego między braćmi Kotapkami a Palczakami, w następstwie którego Władysław Kotapka miał rzekomo uderzyć w głowę jednego z Palczaków jakimś twardym narzędziem, ten zaś obu braci Kotapków poranił ciężko najprawdopodobniej dłótem, gdyż takowe znaleziono w mieszkaniu Palczaków, gdzie się rozegrała tragiczna scena. Zaalarmowane władze bezpieczeństwa zastały w sieni trupa śp. Bolesława Kotapki, oraz siedzącego na schodach Władysława, osłabionego upływem krwi z trzech ran kłutych, zadanych w rękę w bok i łopatkę. Na ciele śp. Bolesława Kotapki skonstatowano taką ranę w okolicy serca.

Miarą sympatyi, jaką śp. Bolesław Kotapka cieszył się wśród szerokich sfer sportowych Krakowa, był pogrzeb tragicznie zmarłego przy udziale nader licznym kolegów, przyjaciół i znajomych. Nad grobem pożegnał, tak chlubnie w dziejach K. S. „Cracovia" zapisanego, a przedwcześnie zmarłego członka wiceprezes p. Kowalski, wygłoszono nadto szereg przemówień. Podczas składania trumny na miejsce wiecznego spoczynku krążyły nad cmentarzem samoloty, kierowane przez członków footballowej drużyny lotniczej, którzy w ten sposób oddali hołd pamięci swego druha.

Krakowski zespół salonowo-artystyczny.

W nader gustownie odnowionej i od kilkunastu lat w Krakowie popularnej „Kawiarni Teatralnej" koncertuje od kilku miesięcy doborowy i zaszczytnie znany zespół orkiestrowy ze stałym współudziałem pp. Bolesława Kopystyńskiego, wiolonczelisty, Witolda Barucha, skrzypka, Ferdynanda Macalika, pianisty, Józefa Kożusznika, skrzypka, Anny Kotkówny, harmonistki i in.

O panu Kopystyńskim zbyteczne są wszelkie pochwały — zanadto dobrze zna i ceni go muzykalny Kraków — zaś co do p. Barucha, który jest laureatem warszawskiego Konserwatoryum i uczniem mistrza Barcewicza, wystarczyły ostatnie wzmianki w prasie z jego występów kameralnych i symfonicznych, aby się przekonać, jak poważnym i wszechstronnym jest on muzykiem. Panowie Macalik i Kożusznik, to kameraliści uznani, poważni i bardzo pożyteczni muzycy, zasługujący na specyalne wyszczególnienie. P. Kotkówna to znakomita specyalistka w grze na harmonium. Zespół ten pozyskał sobie szczere uznanie muzycznych sfer Krakowa i przyczynia się swemi doskonałemi produkcyami do szerzenia kultury muzycznej w naszem mieście.



Członkowie zespołu: Prof. B. Kopystyński, W. Boruch, F. Macalik, J. Kożusznik, A. Kotkówna.

Zakłady Przemysłowe i Wydawnicze

Ryngraf

S. A.

Zakłady Graficzne
(Kraków-Krupnicza Nr. 6.)
Druki- Lito- i Foto - litografia - Zakład fototechniczny. Światło - druk - Cynko - Negro - grafia. (Oddz. lwowski).

Oddz. Reprodukcji plastycznej
(Kraków-Biskupia Nr. 20.)
Odlewy gipsowe. – Plakiety. – Figury świętych. – Przedmioty galanteryjne.

Introligatornia
(Kraków-Biskupia Nr. 20)
Oprawy książek. – Konfekcja papieru wogóle. – Drobna galanterja.

Oddz. Wytwórni szat kościelnych
(Kraków-Biskupia Nr. 20.)
Szaty i bielizna kościelna. – Koronki. – Hafty. – Chorągwie. – Sztandary etc. – Drobne przedmioty dewocyjne. Różańce. – Szkaplerze. – Kwiaty. – Koronki etc.

Oddziały Handlowe: Lwowski
(Plac Trybunalski Nr. 1.)
i Częstochowski
(Plac Kordeckiego Nr. 21)
Przedmioty zapotrzebowania kościelnego i wszelkiego rodzaju dewocjonalja.

CENTRALNA DYREKCJA I GŁÓWNE BIURO ZAMÓWIEŃ: **KRAKÓW, SŁAWKOWSKA L. 11. – TELEFON Nr. 1102**

OGŁOSZENIE SUBSKRYPCYJNE.

Na podstawie postanowienia Ministerstwa Przemysłu i Handlu, oraz Skarbu z dnia 24. sierpnia 1921 r., ogłoszonego w Monitorze Polskim Nr. 218 z dnia 26 września 1921 r. podnosi się kapitał akcyjny Firmy

ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE i WYDAWNICZE **„RYNGRAF"** S. A.

z kwoty Mkp. 15,000.000·–, do wysokości kwoty Mkp. 45,000.000·–, przez wypuszczenie 30.000 sztuk akcji II. emisji wartości nominalnej à Mkp. 1.000·–, na któreto akcje ogłasza się niniejszem publiczną:

SUBSKRYPCJĘ

na następujących warunkach:.

I. Akcje II. emisji są na okaziciela.

II. Pierwszeństwo do nabycia akcji II. emisji służy właścicielom akcji I. emisji w stosunku 3 nowe na 2 stare akcje.

III. Pozostałe akcje nie rozebrane przez dawniejszych akcjonarjuszy przydzielone będą według uznania Zarządu, ewentualnie sprzedane publicznie po cenie niższej niż emisyjna.

IV. Cenę emisyjną nowych akcji określa się na Mkp. 1.150·–, dla właścicieli akcji I. emisji, którzy skorzystają z prawa pierwszeństwa i na Mkp. 1.400·–, dla reszty nabywców.

V. Pod względem udziału w zyskach i praw, przysługujących akcjonarjuszom, akcje II. emisji, są zrównane z akcjami I. emisji z prawem do dywidendy od dnia 1. stycznia 1922 r.

VI. Posiadacze akcji I. emisji mają prawo wykonania prawa poboru w przeciągu 6-ściu tygodni od dnia ogłoszenia subskrypcji, wedle p. II. i IV. warunków subskrypcyjnych.

VII. Decyzję co do przydziału akcji dla nowych akcjonarjuszy zastrzega sobie wyłącznie Zarząd Spółki z tem, że nowi akcjonarjusze, o ile nie otrzymają przydziału akcji II. emisji do 3 ch miesięcy od dnia ogłoszenia subskrypcji, otrzymają zwrot wpłaconych kwot wraz z 5% odsetkami od dnia wpłaty.

VIII. Akcje II. emisji są już skonfekcjonowane i starzy akcjonarjusze mogą natychmiast po przedłożeniu posiadanych akcji do ostemplowania i zapłaceniu należytości, odebrać w Dyrekcji Spółki lub jej Oddziałach oryginalne sztuki akcji II. emisji.

IX. Zgłoszenia i wpłaty subskrypcyjne przyjmują:

Dyrekcja Spółki w Krakowie, ul. Sławkowska 11, I. i jej Oddziały; we Lwowie, pl. Trybunalski 1; w Częstochowie ul. Kordeck'ego 21; Polski Bank Przemysłowy we Lwowie i jego Oddziały; Polski Bank Krajowy we Lwowie i jego Oddziały; Bank Ziemian we Lwowie i jego Oddziały; Bank Narodowy w Warszawie i jego Oddziały; Bank Ziemiański w Warszawie i jego Oddziały.

W Warszawie, dnia 20 lutego 1922.

ZARZĄD.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego